

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

7 Poldek z taką uwagą słuchał wywodów ojca, że aż mu poczerwieniały jego duże, odstające uszy. Otwierał już usta, aby zadać jakieś nowe pytanie, nurtujące jego młody, ruchliwy mózg, kiedy nagle Różia gwałtownym ruchem rzuciła czytany gazetę na stół.

— To ohydne, co tato mówił — krzyknęła. — Maurycy jest naprawdę uczciwy! On nie chce być spekulantem i... i... dławilo ją w gardle, do oczu nabiegały łzy pogardy i serdecznego, głębokiego bólu.

— Różia!... Różia!... — krzyknęła przerażona matka — co ty gadasz?!

Goldbaum ułknął w córce przeszywające spojrzenie. Przez chwilę zdawało się, że wybuchnie gniewem, ale widocznie przyszło mu na myśl coś uspakajającego bo uśmiechnął się z lekceważeniem i rzekł flegmatycznie:

— Ty, Różia, za dużo czytasz różne książki, a ty nie wiesz, co książkę drukuje się po to, żeby ją sprzedać, i ty jesteś jeszcze bardzo głupia. Ale ty widz, że jak przyjdzie po ciebie konkurent, to on się nie będzie pytał na jakim interesie twój tato zarobił, tylko on się zapyta, jaki ty masz posag?...

Różia ochłonęła i uspokoiła się pozornie. Głowę pochyliła na piersi i zacisnęła usta.

— Już nic więcej nie powiem... Poco?... poco?... — snuła się jej myśl bolesna, raniąca.

Pani Mela zwróciła się teraz całą postacią ku swej siasiadce.

— Z ciebie straszna idealistka, Różyczko. Widzisz, w życiu to jest trochę inaczej niż w książkach. A propos, co ty czytasz teraz?... Czytałaś może „Kokotte Lu”? No to nie dla panien, ale panny są teraz postępowe. A Eversa najnowsza powieść? — Pani Mela lubiła uchodzić za czytelną i istotnie pochłaniała całe stosy powieści, szukając przedewszystkiem niezdrowej, erotycznej sensacji.

— Nie, nie znam — rzuciła krótko i sucho Różia.

— Nie znasz? To sobie weź z wypożyczalni. Powiadają ci, to jest dreszcz psycho-logiczny.

— Dziękuję. Wolę innego rodzaju książki.

Pani Mela przyłożyła do oczu „lorgnon” i spojrzała przez szkła na kuzynkę, jakby chciała coś osobliwego z twarzy jej wyczytać. Klugfederowa miała wprowadzić doskonały wzrok, uważała jednak, że do dobrego tonu należy krótkowzroczność i patrzenie na ludzi przez „imperfynienkę”.

— Taak?... — wyrzekła przeciągle — to ty jeszcze ciągle czytasz „Pana Tadeusza”? —

Na ostatnich słowach położyła znaczący nacisk. Różia drgnęła zaledwie dostrzegalnie, ale chłodno i najspokojniej w świecie odparła:

— Oczywiście, że odczytuję sobie czasem to arcydzieło poezji polskiej.

— No, czytaj, czytaj, nic nie szkodzi, tylko nie radzę ci zanadto się przejmować.

Różia podniosła się z krzesła.

— Ty idziesz gdzie, Różia? — zapytała matka.

— Tak. Dzień jest bardzo ładny. Chciałabym się przejść.

— Ty już przecie dzisiaj wychodziłaś. Ty strasznie dużo potrzebujesz spacerować — dziwiła się matka. — Ty się tylko nie spóźnij na obiad.

— Przyjdę punktualnie.

Kiedy za Różią zamknęły się drzwi, pani Mela zwróciła się do Poldeka:

— Poldek, może byś ty sobie co poszedł przeczytać, albo możesz także iść na spacer.

— Dlaczego ja nie mam zostać tutaj?

— No, Poldek, idź, idź — rzekł ojciec, domyślając się, że Mela chce pomówić o jakimś interesie.

— A na kino da mi tato?

— Ty dostaniesz.

— No to dobrze, ja sobie idę, co mnie po waszych sekretach.

Wyszła, zamknęła drzwi za sobą, co mu nie przeszkodziło wszakże podsłuchiwać rozmowy rodziców z panią Melą.

Klugfederowa od razu, bez żadnych wstępów, rzuciła stanowczym głosem:

— Ja wam powiem, że tę waszą Różię to trzeba wydać za męża! Jak najprędzej!..

Goldbaumowa zakłósała głową. Goldbaum spokojnie dalej palił cygaro, z pod oka spoglądając na siostrzenicę.

— Warum? — zapytał po chwili. — Co za gwałt?.. Ona jest młoda, ona ma czas.

— Czego się Różia potrzebuje spieszyć? — sekundowała mu zona. — Czy ona w domu nie ma co jeść?...

— Może ona nie potrzebuje się spieszyć, ale jak wy nie będziecie się spieszyć, to ona wam, zobaczycie, zrobi jeszcze jakie wielkie głupstwo!..

— Ty sama gadasz głupstwo, Mela — oburzyła się z niezwykłą u niej żywością Goldbaumowa. — Różia jest dobre dziecko!..

Namiętne przywiązanie do dzieci było u tej zapasionej kobiety jedynym gorętszym przejawem życia duchowego, jedynym echem dawnego młodzieńczego temperamentu. Nie znośiła też, aby je kłóli w jej obecności krytykować.

— Ja nie mówię, że jest zła, ale ona może zrobić głupstwo!..

Pani Mela zaakcentowała silnie ostatnie słowo.

Goldbaum zmarszczył swoje gęste, krzaczaste brwi i rzucił ogarek cygara.

— Wie heisst głupstwo? O czym ty myślisz, Mela?...

— Ja nic więcej nie powiem, ja tylko ostrzegam. A jak wy mnie nie posłuchacie, to możecie bardzo pożałować. Tu niema co gadać, Różia ma przewrócone w głowie!..

— Na, na, ist nicht so arg — mruknął ojciec Rózi, a matka zaperzyła się:

— Mela, ja ciebie proszę, ty mnie przy mnie nie wygaduj na moją Różię!

— A czy ja wygaduję? Ja chcę dla niej jak najlepiej. I dlatego mówię, że ją trzeba wydać prędko za męża.

Pani Mela zamilkła i przez chwilę badała wrażenie na twarzy Goldbauma. Goldbaumowa mniej ją obchodziła, bo nie miewała prawie nigdy własnego zdania.

Ale Goldbaum za sprytny był aby zdradzić się z tem, co właściwie myśli. Rozumiał, że pani Mela przyszła z gotowym planem i chciał, aby ona pierwsza ze ścisłą propozycją wystąpiła. Milczał więc uparcie, gładząc z powagą brodę. Z jego mądrych, przebiegłych oczu nie można było nic wyczytać.

— No, cóż wuj o tem myśli? — rzuciła wreszcie pani Mela z pewnem zniecierpliwieniem.

— Co ja mam myśleć? Ich soll mir den Kopf darüber zerbrechen? Auch a Kloppe? Czy może Różia krzywa jest albo garbata albo ma feler?... Może ona nie jest wykształcona? Spricht sie nicht französisch, spielt sie nicht Klavier? A może jej ojciec jest żebrak?... — dokończył z dumą, wydymając klatkę piersiową.

Pani Mela potakująco skinęła głową.

— To wszystko prawda, ale teraz wojna... O kawalerów trudno.

— O naszych? — uśmiechnął się Goldbaum. — O dobrego zięcia zawsze trudno... A byle kto to znowu nie dla Rózi.

— No, ja myślę... Czy ja mało płaciłem za jej naukę... Ona skończyła liceum und sie hat Manieren, wie eine Gräfin.

— I ona jest ładna, jak obrazek. I ja taka byłam! — westchnęła Goldbaumowa — To też trzeba, żeby jej mąż był i przystojny i elegancki i wykształcony i z porządnej rodziny i żeby miał tytuł.

— Ty, Mela, powiedz od razu — przerwał Goldbaum z filuternym błyskiem w oczach — że on się ma nazywać Leon Klugfeder i ma być stryjeczny brat twojego Moryca.

— A gdyby tak było? Czy wuj ma coś przeciwko doktorowi praw Leonowi Klugfederowi? — głosem i odpowiednią mimiką podkreśliła słowa „doktorowi praw”.

Goldbaum był zainteresowany, ale starał się zachować maskę drwiącej obojętności.

— Ja przeciw niemu nic nie mam, ale ja już powiedziałem: es hat keine Eile... I doktor praw, to znowu nie jest takie straszne „meczy”... Ich się tyle namnożyło, co oni będą niedługo chodzić po domach, jak handełsy i pytać się: może jest jaka bagatelke?

— Ale nie tacy, jak Leon Klugfeder.

— On nie ma jeszcze żadne klientele. — On dopiero co otworzył kancelaryę. Ale on będzie miał, on już ma... Do niego baby ze wsi schodzą się ze swymi sprawami... On im przyrzeka, co one tylko zechcą... To jest dobry interes.

Goldbaum skinął z uznaniem głową:

— To jest złoty interes, ale jemu się to może urwać... On służy przy wojsku... jego mogą przenieść... na front!..

— Coby to było, jakby jego posłali na front? — zawirowała mężowi Goldbaumowa.

— On na front nie pójdzie! — odrzekła pani Mela tonem, wykluczającym wszelką wątpliwość — Jego głowa nie jest od parady!

Tak gorliwie popierała sprawę męzowskiego kuzyna, że aż dostała wypieków. Widocznie bardzo jej zależało na przeprowadzeniu jego kandydatury. Nie uszło to uwagi spostrzegawczego wuja.

— Z ciebie, Mela, dobry „szadchen”. Przyznaj się, jaki tobie Leon procent obiecał od posagu Rózi?

Wypieki Klugfederowej stały się jeszcze ognistsze. Oczy jej rozbłysły gniewnie i byłaby prawdopodobnie, zapominając o dyplomacji, rzuciła ostrą odpowiedź, gdyby w tej chwili nie ukazała się w progu Różia.

Panienka ubrana była do wyjścia. Na ciemnoniebrzowym filcowym kapelusiku z niedużem rondem zawiązała białą woalkę, przez którą ślicznie przebijała jej kremowa cera z delikatnymi rumieńcami. Dobrze zrobiony kostium tej samej barwy co i kapelusz, obramowany u szyi i rękawów puszystym futerkiem uwydatniał rozwinięte a smukłe kształty dziewczyny.

— Ja wychodzę. Dowidzenia.

— Ty się nie spóźnij na obiad. Dzisiaj będzie pieczona gęś! — upomniała matka.

Wzrok ojca przesunął się szybko po ubra- niu córki.

— Dlaczego ty nie ubrała ten nowy karaku- łowy żakiet?

— Byłoby mi w nim za ciężko. Wolę ko- styum — odparła dziewczyna.

— Ty go, Różia, włóż! Niech go ludzie zo- baczają!..

— To kiedyindziej. Dzisiaj już nie. Dowi- dzenia.

Różia wyszła. Ojciec jej przez chwilę siedział zamyślony, z nastroszonymi brwiami. Kilkakro- tnie uderzył ręką o kolano, co u niego było zawsze oznaką irytacji.

Wreszcie spojrzał na żonę, potem na panią Melę i rzekł:

— No, co wy na to? Ona nie włoży takie piękne karakuły, co kosztowały tyle pieniędzy! Jej jest w nich za ciężko!.. Mela, ty masz ra- cyę! ją trzeba prędko wydać za męża!..

— — — — —

Suchy, puszysty, skrzący djamentowymi po- łyskami śnieg nadawał ulicom wygląd czysty i wesoly. Zimno było, ale nie nazbyt mroźnie i bardzo pogodnie.

— Piękną pogodę dał Pan Bóg na święta — mówiono.

Odświętne przybrane tłumy wyległy na mia- sto i szerokimi falami płynęły do kościołów, przy dźwięku rozgłosnych uroczystych pieśni dzwonów.

Bruku i łachmanów nędzy nie dojrzyś nigdzie. Najbiedniejszy, najmniej dbały o po- wierchowność nie zechce się rażącym kontra- stem odbijać od świątecznej gromady.

Kościoły przepelnione. Jedni wychodzą, wy- słuchawszy nabożeństwa, inni, liczniejsi, napły- wają bezustannie.

W jedną z takich fal ludzkich wmieszała się Różia Goldbaumowa i posuwała się razem z nią. Ale u wrót kościoła, z którego dochodził hymn organów, zatrzymała się. Przez chwilę walczyła z gorącym pragnieniem, aby wejść także.

Z dawna, od lat dzieciących już świątynie chrześcijańskie wywierały na nią urok prze- możny, nieodparty. Nietylko przez swoje piękno estetyczne, lecz przedewszystkiem przez swoją treść wewnętrzną, przez wiarę tych tłumów, rozmodlonych u stóp ołtarzy, niosących w nawy kościołów swoje smutki, niepewności, walki serdeczne i tęsknoy.

(Ciąg dalszy nastąpi).